

# Ryszard Matuszewski

---

## Mistrz pur-nonsensu

---

Rocznik Towarzystwa Literackiego imienia Adama Mickiewicza 38, 31-33

---

2003

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej [bazhum.muzhp.pl](http://bazhum.muzhp.pl), gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

*Ryszard Matuszewski*

## MISTRZ PUR-NONSENSU

Wśród pamiątek, jakie mi pozostały po mojej żonie, Irenie Szymańskiej, jest jedna związana z Gałczyńskim. W roku 1949, a więc na długo przed naszym po-braniem się, Gałczyński napisał do niej (i o niej) wierszowany żarcik pod tytułem *Niepokój* i ofiarował go jej w imiennym prezencie. Rękopis tego bardzo za-bawnego i – jak słusznie stwierdziła jego adresatka – bardzo „gałczyńskiego” wie-rszyka, zwyczajem poety wykaligrafowany zielonym atramentem na dużym arku-szu papieru, przez kilka lat wisiał na ścianie jej gabinetu w Państwowym Instytucie Wydawniczym. Kiedy w 1958 roku odchodzącą z PIW-u Irenkę żegnali współpra-cownicy, wierszyk został – z inicjatywy Jana Józefa Lipskiego – odbity w 30 numerowanych egzemplarzach, ofiarowanych adresatce z wydrukowaną na pier-wszej stronie dedykacją: „Irenie Szymańskiej in memoriam jej pracy w PIW-ie w latach 1953–1958”. Na stronie następnej zamieszczono tekst utworu Gałczyńskie-go (pominięty w pierwszym, zbiorowym wydaniu dzieł poety, włączony do dru-giego):

### *NIEPOKÓJ*

Gdy w roku 3000-ym Szopena  
Sławić będą w dalszym ciągu potomni,  
Gdy w cyklopediach pod: „SZYMAŃSKA”  
będzie po prostu: patrz: „IRENA” –  
Och, ktoś wtedy o mnie wspomni?  
W sztambuchu  
Ireny  
in memoriam

Konstanty Ildefons

W Warszawie  
22 Novembra MCMXLIX

Tak się osobiwie złożyło, że znajomość z Gałczyńskim zawarłem niemal w tym samym czasie, w którym zadedykował on mojej przyszłej żonie ów wier-

szuk. Wysłano nas razem na pogrzeb czeskiego poety Franciszka Halasa. Trzy dni spędzone w podróży z poetą, którego wiersze zachwyciły mnie i bawiły od lat, miały – zwłaszcza biorąc pod uwagę jego bardzo niezwykłą osobowość – szczególny smak. Pierwszy raz miałem możliwość na własne oczy oglądać jak „szalony Kostek” kreśli wiecznym piórem napelnionym owym zawsze zielonym atramentem wielkie, okrągłe litery swego rękopisu. Tym razem było to dwuzwrotkowe *Epitafium na śmierć Franciszka Halasa*. Całą tę wspólną podróż z Gałczyńskim opisałem w tekście, który w kilka lat po jego śmierci ukazał się w grubym, zbiorowym tomie poświęconych mu wspomnień. Tu zaznaczę tylko, że właśnie owe dni dały początek nawiązaniu „rodzinnym” – bo tak chyba nazwać by je należało – kontaktów między nami, co było dla mnie samego w dużej mierze niespodzianką. Choć na uroki poezji Gałczyńskiego wrażliwy byłem zawsze, to jednak przez moich kolegów z łódzkiej „Kuźnicy”, z którą byłem wtedy związany, Gałczyński, również ten w nowym, powojennym wcieleniu, był traktowany raczej nieufnie. Pamiętano mu niektóre, nigdy później nieprzedrukowane, antysemickie wiersze z przedwojennego „Prosto z mostu” i raczej gorszono się jego beztróskim akcesem do nowej rzeczywistości, niż go akceptowano. Dodajmy, że poetom „Kuźnicy”, Jastrunowi czy Ważykowi, traktującym ówczesne przeobrażenia polityczne z całą powagą, zupełnie nie odpowiadał ludyczny ton tekstów mistrza Ildefonsa. Jeśli dodać do tego wszystkie, tak prawdziwe jak zmyślane, historie na temat jego szaleństw, zarówno tych poalkoholowych, jak wynikłych po prostu z jego poetyckiej natury, zacierającej granice pomiędzy rzeczywistością a fantazją, moje zetknięcie się z Gałczyńskim żywym było pewnym zaskoczeniem.

Gałczyński nie był alkoholikiem tego typu co Władek Broniewski, pijącym co dzień i złym, póki go nie rozchmurzył pierwszy kieliszek. Gałczyński zaskoczył mnie już w samolocie, kiedy odmówił proponowanego mu alkoholu. Był dypso-manem, miał okresy pijaństwa, ale mnie jego alkoholowe transe miały pozostać znane tylko z cudzych relacji. Zarówno podczas naszej wspólnej podróży, jak później, nie widziałem go nigdy po kieliszku. Przy tym kilkakrotnie, wzajemne odwiedziny Gałczyńskiego z Natalią u nas i moje z moją ówczesną żoną Beatą w Alei Róż połączone były zawsze z poczuciem jakiegoś urzeczenia klimatem ciepła, serdeczności i czegoś, co robiło, może mylnie, wrażenie absolutnej naturalności stylu zachowania się poety. I tak na przykład Beata, która – w przeciwieństwie do Irenki – nie najlepiej reagowała na sposób bycia większości moich przyjaciół z literackiego kręgu – Gałczyńskim zachwyciła się bez zastrzeżeń. A przesłanki tego zachwyty były bardzo swoiste. Na przykład w czasie świąt wielkanocnych 1950 roku, poeta rozbawił cały mój dom swym humorem, wdziękiem i bezpośredniością, zagładaniem do każdego kąta. Wtedy to córeczka moja zapamiętała, że Gałczyński to ten pan, co – nie bacząc na obfitość świątecznych smakołyków –

spenetrował, że w spizarce są kluski, poprosił o nie i zjadł je z apetytem ku ucieście gospodyni.

W czasie innej wizyty, w grudniu 1950, Gałczyński wręczył Beacie rękopis wiersza *Serenada dla korektorki* z dedykacją: „Ten autoportret mojego charakteru Beacie & Małgosi & Ryszardowi & Piotrusiowi Matuszewskim na pamiątkę K.I. Warszawa 26 De. MCML.”

Dlaczego akurat *Serenada dla korektorki*? Zdaje się, że Beata zatrudniona była wówczas jako korektorka w którymś z wydawnictw. I wprawdzie nie był to wiersz napisany specjalnie dla niej, jak madrygał dedykowany Irencce, to jednak bawiły mnie te gesty „poety-trubadura”, jak – najtrafniej chyba – scharakteryzował Deltę-Gałczyńskiego Miłosz w *Zniewolonym umyśle*. Przeszedłszy do porządku nad osobistym atakiem na siebie, jakim był ogłoszony na krótko przedtem, głośny *Poemat dla zdrajcy*, piętnujący Miłosza, który zerwał z Peceelem, autor *Zniewolonego umysłu* pisał o Gałczyńskim m.in.:

Trudno o lepszy przykład pisarza buntującego się przeciw izolacji intelektualisty w XX wieku niż Delta. Tenor, który znalazłby się na bezludnej wyspie, cierpiałby równie jak Delta, gdyby musiał publikować w małych magazynach czytanych tylko przez snobów [...]. Delta potrzebował, aby istnieć, mecenasa – mecenas musiał go zmuszać do pisania, walczyć z jego pijaństwem [...] sprawować nad nim opiekę i kontrolę [...]. Kiedy w Polsce nastąpiło przejście od powściągliwego uwielbienia dla Rosji do jawnego bałwochwalstwa, Delta nie dawał się nikomu wyprzedzić. [...] Korespondencje z Moskwy doprowadziły purytanów do stanu wrzenia. Wiedzieli oni, że Moskwa jest miastem raczej odrażającym i ponurym. Zachwyty Deltę nosiły wszelkie cechy wyszukanego szyderstwa. Zdawał się mówić: żąda się ode mnie, żebym chwalił, dobrze, będę tak chwalił, że bokiem wam wylezie. Nielatwo było jednak odgadnąć, jakie były naprawdę jego intencje. Nie należał do ludzi, co do których da się stwierdzić, że kłamią czy też mówią prawdę. Normalne kryteria były wobec niego bezsilne. Poruszał się w innym wymiarze. Można było go porównać do prestidigitatora, który w każdej chwili wyciągnie dowolną ilość królików ze swego cylindra.

Mistrz pur nonsensu! Wszystko inne było nieważne.

Aby istnieć jako poeta – pisał Miłosz o Gałczyńskim – potrzebował dobrotliwego księcia, który bawi się i rozumie, że ani jego rządy, ani nic na niebie i na ziemi nie zasługuje na to, żeby się tym zaudado przejmować, i że picść – pół poważna, pół drwiąca – jest ważniejsza. Takich książąt nie ma już od dawna.